ROK I. NR. 4.
Kwiecień 1933.
Redakcja i Administracja:
Wilno, ul. Uniwersytecka 9-9
czynna
pon., środy, piątki g. 19-20.
Cena pojed. numeru 20 gr.



MIESIĘCZNIK
POROZUMIENIA
AKADEMICKICH
KATOLICKICH
STOWARZYSZEŃ
WILNO

Fortiter et suaviter.

Urabiając naszą wspólną ideologję, trzeba nietylko wielkie zadania życia, lecz wszystkie jego niepozorne szczegóły ustawić w perspektywie nauki Tego, który o sobie powiedział, że jest Prawdą i Drogą.

Słyszałam zarzut, że wstępny artykuł Nru 3-go Paxu choć słuszny, dobry i rzeczowy, razi irytacją; że artykuł ten i feljeton „Postępowcy" są niesmaczne, niechrześcijańskie, że stoją o krok od tych czasopism, dla których paszkwil, oszczerstwo, trywjalna połajanka jest codziennym chlebem, choć posmarowanym nie byle jakim miodem wzniosłych haseł.

Czy jednak jest z nami aż tak źle? I czy ten krytycyzm nie jest raczej wyrazem jakiegoś idealistycznego doktrynerstwa? Albo może jakiegoś nerwowego przeczulenia, tak nie pasującego do chrześcijanina, zahartowanego w boju, zrośniętego z trudem walki? Przedewszystkiem, czy zarzut rzeczywiście słuszny? Krytyka—to jeszcze nie trywjalna połajanka, a mocne określenia są chyba dostatecznie usprawiedliwione, jeżeli zgodne z prawdą.

A jednak, czy pomimo to wszystko, nie byłoby lepiej poprzestać na łagodnem przekonywaniu przeciwnika? — Miłość ewangeliczna, wyrozumiałość, cierpliwość, łaskawość — ależ tak... Przecież nie darmo wzięliśmy jako hasło „Pokój". Wiemy, do czego zdolna jest cierpliwość, która czeka, wiemy, czem jest dla serca jedno miłosierne dotknięcie ręki, wiemy, jakże dobrze wiemy, czem jest miłość

„która złości nie wyrządza, nie nadyma się; nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego".

Tylko taka miłość może być podstawą i punktem wyjścia wszelkiego działania, które „swego nie szuka". To najpierwsze memento dla nas samych. Jeżeli rzucamy rękawicę, to tylko dlatego, że „miłość Chrystusowa nas przynagla" — *Charitas Christi urget nos.*



J. Muttówna. *Drzeworyt.*

Lecz taka miłość to nie mdła czułostkowość, nie sentymentalna tolerancja. Czy nie za rzadko myślimy o tem, że miłość — to moc silniejsza niż śmierć i piekło? Tak, za rzadko myślimy o tem, za mało wierzymy w moc tego znaku, który nosimy w duszy od chwili chrztu, za mało wiemy o życiu Boga w człowieku, za mało w nas poczucia odpowiedzialności za sprawę Chrystusa na ziemi, za mało tej prawdziwej miłości, która się troska o ludzką duszę i nie pozwala, aby zło zdobywało szaniec po szańcu, za mało w nas wreszcie poczucia, czem był i jest katolicyzm w historji, jakie bogactwa wniósł do ogólno-ludzkiej kultury.

Dlatego lękliwi i zahukani, gotowi każdemu ustąpić, przyciszonym głosem wypowiadamy swoje zasady i przekonania. Dlatego tak łaskawi jesteśmy dla tych wszystkich pseudomędrców, którzy nam plują w duszę. Dlatego tak cierpliwie i wyrozumiale wysłuchujemy teoryj i teoryjek, głoszonych publicznie z drwiącym uśmiechem, często ot, tak dla zabawy, czy „zabicia czasu". Dlatego tyle pobłażliwej tolerancji dla strawy, której nam dostarcza teatr, kino, czy odczyt, dla tego, co się u nas mówi i pisze, a co przesiąka do najgłębszych podkładów społecznych i zatruwa moralne życie narodu, zabagnia naszą kulturę obcemi jej i destrukcyjnemi pierwiastkami.

Inna była psychologja chrześcijan z pierwszych gmin. A przecież kto im zarzuci brak słodyczy? Kto zna św. Pawła, wie, ile jest mocy w jego napomnieniach, tak zresztą pełnych miłości, ten pamięta, jak grozi koryntjanom, że przyjdzie do nich z rózgą, jeżeli nie

usłuchają słów prośby (I Kor. IV. 21), a kiedy indziej każe znów w sposób kategoryczny wyrzucić niepoprawnych grzeszników z grona wiernych. Czy mam też przypominać klasyczny rozdz. XXIII u św. Mateusza, gdzie Chrystus wcale nie po wersalsku pertraktuje z faryzeuszami? Jakżeż niesmacznie musiały brzmieć dla ówczesnych przeczulonych idealistów takie zwroty, jak: *węże, rodzaju jaszczurczy, obłudnicy, groby pobielane, obłudnicy pełni nieprawości i plugastwa.* Zwroty te są rzeczowo uzasadnione: brak miłości, sprawiedliwości, obłuda, krzywdzenie, „wyjadanie domów wdów", pedantyzm religijny, pycha, niezgoda z duchem prawa. Chrystus nie przekonywa ich, ale piętnuje i grozi tem, na co my, którzy odeszliśmy od Boga, nie jesteśmy zbyt wrażliwi, lecz co mimo to nie traci swej wagi — grozi sądem i karą wieczną.

Przypomnę też zaraz potem scenę wypędzenia z kościoła przekupniów. Może to usprawiedliwi czasem irytację, która pojawia się w tym czy innym artykule. Zapewne, że zawsze istnieje możliwość przyplątania się uczuć ludzkich. Człowiek jest zawsze tylko człowiekiem. Lecz bywa czasem gniew, o którym nie ma pojęcia ten, kto nigdy nie czuł, że sprawa Boga, sprawa Kościoła to jego sprawa najosobistsza. *Żarliwość domu Twego zjadła mnie.*

Być może, że irytacja niewiele pomoże. Zapewne: winniśmy sięgnąć głębiej, jeżeli chcemy odrodzić istotnie życie. Lecz to, że tak mało irytujemy się wtedy, gdy chodzi o to, „co najważniejsze", jest dowodem, jak słabe są nasze przekonania, jak chwiejne zasady, jak brak nam cywilnej odwagi, jak brak nam miłości Prawdy, jak mało nas obchodzi fala bezbożnictwa, zabagniająca bezkarnie nasze życie. Jeszcze raz powtarzam: irytacja może się przerodzić w histeryczną złośliwość, krytyka bez pozytywnych dążeń i wysiłków — w negatywny stosunek do całego świata. Tylko głęboka miłość prawdy, tylko serdeczna troska i życzliwość dla ludzi, konsekwencja w przekonaniach, wierność zasadom pozwala na zajęcie zdecydowanego stanowiska, w którem znajdzie się miejsce na miłość i sprawiedliwość, na subtelność i bezwzględność w ocenie, na miłosierdzie i nieuniknione ze względów społecznych piętnowanie, na realizację przepięknego hasła chrześcijańskiego: *suaviter in modo, fortiter in re*, na słodycz i wyrozumiałość, która będzie wyrazem stanowczości i mocy, na surowość krytyki, pochodzącej z głębin miłości. Wtedy będziemy mieli to, czego tak bardzo brak dzisiaj w życiu społecznem — czujną, rzetelną, odpowiedzialną i konsekwentną o p i n j ę k a t o l i c k ą.

Halina Wężyk-Widawska.

Wizerunek żywotów poczciwych ludzi.

Stały się modne w ostatnich czasach narzekania na obojętność szerokich mas wobec najżywotniejszych zagadnień, na ogólną śpiączkę, na brak zainteresowań kwestjami państwowemi, społecznemi, naukowemi, wychowawczemi. Dawniej ludzie byli inteligentni, teraz — chodzą do kina, do Rudnickiego, spacerują po ul. Mickiewicza. Dawniej czytali książki, teraz czytają pożyczoną u sprzedawcy za 5 groszy starą gazetę, która i tak kosztuje 5 groszy.

Co słuszne, temu nie można zaprzeczyć. Wszyscy wiedzą, że nie wytrzymujemy porównania z ubiegłemi pokoleniami. Niemniej nie zgodziłbym się z tak krańcowem twierdzeniem, jak to o braku zainteresowań. Są sprawy palące, są kwestje, które wszyscy chcemy rozwiązać. Na czoło zagadnień bieżącego życia wysuwają się następujące problemy: czy woda może przesiąknąć do piwnicy z zewnątrz budynku, czy to prawda, że adwokaci mogą nie pobierać honorarjów, a bronić tylko dla idei i reklamy, wreszcie: co to właściwie jest dżagan?

Dopiero obserwując proces Gorgonowej, zwłaszcza obserwując nie aktorów, tylko widownię i szeroką publiczność, dochodzimy do optymistycznych wniosków. Nasze społeczeństwo wcale nie jest tak niemrawe, jakby się mogło wydawać. Wielkiemi wypadkami umie się przejąć, umie je przeżywać. Organy opinji społecznej— prasa — pęcznieją od sprawozdań. Poważny, konserwatywny dziennik, nie wytykając palcem *(Słowo)*, wysyła własnego utalentowanego korespondenta do najważniejszych obecnie w Polsce metropolij — Krakowa i Brzuchowic. Zaś ulice Wilna aż się skrzą od plakatów, głoszących, że najobfitsze, najpełniejsze i z najbardziej pikantnemi szczegółami podane sprawozdanie z przebiegu procesu znajdziesz w dzisiejszym numerze katolickiego *Słowa*. Czytając te plakaty, społeczeństwo wie już, dokąd ma się zwrócić po prawdziwe wiadomości z „placu boju" i całkiem przestaje czytać nowokreowany organ akcji katolickiej — *Kurjer Wileński*. Bowiem cóż z tego, że znajdziemy tam odezwę, chociażby nawet podpisaną przez profesora Glasera, niemasz, czego pragnie dusza moja, nie wiesz, czytelniku, czy sędziowie przysięgli w dobroci swojej wzruszyli się Kropelką, czy biegli stwierdzili to, czego nie chcieli przyznać przebiegli obrońcy i czy w rzeczywistości biegły upadł na głowę. Bowiem nie sejm, nie budżet, nie rząd, ale to są właściwe kwestje zasadniczej wagi w naszych umysłach.

Tu mała refleksja: żal mi trochę osoby, która, aczkolwiek z pewnością niemniej dla sprawy zasłużona niż Gorgonowa, jednak nie uzyskała ani jednego procentu takiego rozgłosu. Ludzie, obdarzeni wiekiem i pamięcią, czy pamiętacie parę Zbłońskich? Tam też była kobieta. Zabijała moc ludzi raz po raz, zajmując się szlachetnym bandytyzmem. Stracono ją i sprawa skończyła się paru reporterskiemi wzmiankami. Poprostu nie było wtedy „Tajnego detektywa". To rozumiem. Ale gdzież była Irena Krzywicka!?

* * *

Nastroje procesowe zostały zlekka przytłumione przez święta Wielkiej Nocy. Kto mógł — wyjechał, rzekomo w celu ułatwienia nauki przedegzaminacyjnej, w rzeczywistości dla wzmożenia konsumpcji słodkich dóbr doczesnych. Kto na prowincję, kto do stolicy.

Oczywiście też wielki świat — młodzież środowiska warszawskiego, lwowskiego, poznańskiego — zjechał tłumnie do Wilna. Na wywczasy. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, jakie projekty na najbliższą przyszłość ma młodzież wielkiego świata. Podobno w pierwszych dniach maja będzie znów żywiołowa akcja przeciwko ustawie akademickiej. Taki zgóry przygotowany spontaniczny odruch. Znowu zamanifestujemy, że zasługujemy na pełny samorząd, jak przystało na elitę inteligencji. Jakieś parę kulturalnych wieców, parę pochodów, jakaś bójka, jakiś śmigus dyngus od policji i straży ogniowej. I będą wszyscy śpiewać: „znów zimną wodę leją katy i płyną ludu gorzkie łzy".

I tu niewątpliwie aktualna będzie kwestja, czy się ta zimna woda przesączy do zamkniętych piwnic — umysłów. Tak samo, jak w procesie Gorgonowej. I tak samo jedni będą mówili, że drudzy upadli na głowę. A ci powiedzą, że tamci są niepoczytalni, jak Staś, a tamci będą krzyczeć i przeciągać sprawę. A w końcu pójdą w ruch dżagany.

Tak ujadają ludzie na ten proces. A czyż nie jest on wizerunkiem żywotów ludzi poczciwych? *C. J. F.*

Niebiański Łowca.

FRANCISZEK THOMPSON.

Notatka biograficzna. Franciszek Thompson * w Preston, 1859, † w Londynie, 1907, gdzie też spędził większą część swego życia. Jako lekarz udał się do Londynu w poszukiwaniu pracy i cudem uniknął śmierci głodowej na jego ulicach, aż tkwiący w nim talent literacki był odkryty przez niego samego i przez innych. Pisał przeważnie poezje: zbiorki *Poems*, *Sister Songs* oraz *New Poems*. Utwór tu zamieszczony krytyka literacka nazywa jednogłośnie „najwspanialszą liryką literatury angielsklej", „najbardziej wstrząsającym poematem, jaki kiedykolwiek był napisany".

We dnie i w noce przed Nim uciekałem,
Naoślep mknąc pod arkadami lat;
Naoślep mknąc, gubiłem własny ślad
Wśród labiryntu myśli; próbowałem
Skryć się w mgle łez, za wodospadem śmiechu.
Dźwignąłem gmachy snów,
By stamtąd — runąć znów
W obłędnych strachów tytaniczne głębie,
Wciąż usiłując zmylić nadaremnie
Ten mocny Krok, co stąpa — stąpa wślad.

Wciąż ta powolna pogoń,
Naglejsza niźli ogień,
W nieubłaganym pędzie, zwolna mknie;
Uderza Krok miarowo,
Jak piorun — biją słowa:
„Zdradzony będzie ten, kto zdradza Mnie".

Pukałem coraz w inne
Okienko serc, świecące się czerwono,
Litością oplecione niby winem —
(Wiedziałem, że mię Miłość ściga szybka
Ale nie mogłem oprzeć się udręce,
Że mając Go, nie mogę mieć nic więcej);
Gdyby się nawet otworzyła szybka,
Stłukłby ją wichr kroczącej wślad pogoni.
Nie zdoła umknąć strach, gdy Miłość goni.

Poza granice świata uciekałem,
Sen gwiazd zmąciłem, pragnąc znaleźć schron;
Zbudziłem w ciszy srebrno-brzmiący ton,
Zawory potrząsając szczękające,
Kołacząc w blade blachy bram miesiąca.
Prosiłem zorzę: Przyjdź; jutrznię: Nie znikaj —
Zasyp mię swych obłoków młodem kwieciem,
Skryj mię od straszliwego Miłośnika!
Niech twa zasłona spłynie, nim wyśledzi!
Tak kusząc wszystkie Jego wierne sługi,
Znalazłem w ich stałości — własną płochość,
W milczeniu ich — zwodniczość wobec mnie,
Zdradziecką wierność ich i zdradę, która kocha.

Czepiałem się, szybkiego pędu chciwy,
Każdego wiatru rozgwizdanej grzywy.
Lecz, czy wypłyną nakształt lekkiej floty
Na błękit niekończącej się sawanny,
Czy, powożeni przez ponure grzmoty,
Rwąc, niosą Jego rydwan po przestworzach
I wypryskują kopytami koni
Setki błyskawic ze spienionej toni —
Nie zdoła umknąć strach, gdy Miłość goni.

Znów ta powolna pogoń,
Naglejsza niźli ogień,
W nieubłaganym pędzie, zwolna mknie;
Miarowo Krok odmierza
I znowu Głos uderza:
„Schronienia nie ma ten, kto nie przygarnie Mnie".

Nic ponad to, co chcę w niej znaleźć, niema
W kobiecej, męskiej twarzy.
Lecz w oczach dzieci coś się dziwnie waży,
Odpowiedź jakaś drzemie.

One są wreszcie dla mnie, tylko one!
I pośpieszyłem niecierpliwie do nich.
Lecz gdy ściemniały nagle jasne oczy
Tą odpowiedzią, co się w głębi żarzy —
Brutalnie wydarł anioł dzieci z moich dłoni.

„Więc chodźcie wy, Przyrody inne dzieci,
Mówiłem — dajcie wejść w wasz krąg uroczy.
Niech się mocny uścisk splecie,
Niech się dotknę ust ustami,
Bawiąc się
Naszej wspólnej Matki-Pani
Pachnącemi warkoczami,
Bawiąc się
W wiatro-ściennym jej pałacu,
Pod sklepieniem lazurowem,
Na wytwornym jej bankiecie
Pijąc, jak to wy pijecie
Z krúż
Jasno-lśniące łzy poranka".
I oto już,
Złączony trwale z tym subtelnym klarem,
Odjąłem rygiel, co do tajni wstęp otwiera. —

Widziałem więc przelotne, szybkie zmiany
Na pogrążonej w myślach twarzy chmur;
Widziałem, jak na ciemnych blankach gór
Obłoki tworzą się, wyparskiwane
Przez dzikie chrapy rozjuszonych mórz;
Wznosiłem się i opadałem razem
Ze wszystkiem, co się rodzi lub umiera,
Robiąc to wszelkich uczuć swych wyrazem,
Ciesząc się tem, lub cierpiąc nieprzytomnie.

Podzielałem smutek zórz,
Gdy wzniecały ogień gromnic,
Wokół dnia zmarłego zwłok.
Parskałem śmiechem słońcu w oczy rano.
I śmiech i płacz dzieliliśmy z pogodą.
Niebo i ja płakaliśmy razem;
Z jego słodkiemi łzami łączyłem łzy ziemskie i słone;
Na słońca serce skrwawione
Kładłem swą pierś, by rozgrzać tętno zachodu
I wspólną krwawić raną;
Lecz próżno, próżno chcę swój ludzki ból odmienić,
Znacząc wilgocią łez szary policzek nieba —
Nie mam, niestety, z nimi wspólnej mowy:
Ja — swoją myśl wyrażam w dźwiękach, słowy;
Ich dźwięk — jest ruchem tylko, mówią przez milczenie.
Przyroda — to macocha, biedna i daleka, —
Nie wie, jak me pragnienie koić trzeba.
Jeśliby chciała dla mnie stać się inną,
Niechby zewlekła chmur koszulę siną
I pokazała piersi swej tkliwości.
Wiem: nigdy dobrodziejstwo tego mleka
Mych spiekłych ust nie zrosi.

Bliżej wciąż, bliżej pogoń,
Naglejsza niźli ogień,
W nieubłaganym pędzie, zwolna mknie;
Uderza Krok miarowo,
Lecz łagodnieją słowa:
„Zadowolenia nie ma ten, kto nie chce dać go Mnie".

Nagi miłości ciosu oczekuję!
Zerwałeś ze mnie po kawałku zbroję,
Ciskając na kolana,
I otom już bezbronny.
Zasnąłem, zda się, wstaję
I widzę, że we śnie me wszystko mi zabrano.
Z dzielności ślepej młodych sił swych dumny
Wstrząsnąłem godzin kolumną
I zawaliłem na się życia gmach.
Na rumowiskach stoję, w kurzu mgłach,
Patrząc na stosy lat, wkrąg napiętrzone —
Zmiażdżona młodość legła pod gruzami.
Skłębiły się me dnie, umknęły w dymie, prysły
I zgasły, jak na wodzie słońca błyski.
Dziś już, niestety,
Zawiodły nawet sny i laur poety.
Nawet łańcucha kwietna więź, na której
Wahałem ziemię — klejnot bransolety —
Puściła; pękły związków z ziemią sznury,
Zbyt słabe, by utrzymać smutku brzemię.
Ach, czy zaiste,
Twa miłość — kąkol, który kwitnie wiecznie,
Nie dając innym kwiatom wzróść dokoła?
Ach, czy koniecznie,
Wielki Artysto,
Masz spalić rzeźbę, której nie podołasz?
Deszcz mej świeżości wsiąknął w suchy kurz,
Fontanna serca mego już rozbita.
Ustał wilgotny myśli prąd, co zraszał
Nabrzmiałe tchnieniem pędy mego ducha.
Tak jest. Czyż może być inaczej?
Gdy miąższ jest gorzki, jak i smak łupiny?

Co w mgle ukrywa Czas, zgaduję mętnie:
Z wieżyc Wieczności, majaczących w dali,
Zmąconych mgieł podniosą się zasłony,
By znów skryć wpół-widoczne bastyony.
Nim mgły opadły był widzialny Ten, co
Wzywał, w szat swych purpurowych ponurości,
Co miał na czole cień cyprysowego wieńca.
Znam jego imię; wiem, co trąba głosi.
Czy żniwem ludzkie serca są, czy życia —
Dlaczego Twe ścierniska muszą
Być użyźnione trupów gniciem?

Odległy Krok pogoni
Tuż za mną teraz dzwoni,
Już Głos otacza mnie, jak rozhukane morze:
„Na skorup rumowisko
Rozbity, świat twój pryska?
Przed tobą pierzcha wszystko, bo uchodzisz Mnie.
Nieużyteczny, mały, nędzny tworze,
Miłości szukasz — kto pokocha cię i za co?
Ja tylko umiem dawać za nic — bezmiar.
Wszak miłość ludzką mierzą zasług płacą —
Nikt zasług twoich nie zna.
Czy wiesz, jak mało jesteś wart miłości czyjej,
Ze wszystkich nędz — najlichszy zlepku gliny.
Gdzie dla cię miłość żyje?
Ja taką miłość mogę dać jedynie.
To wszystko, com od ciebie wziął, zabrałem
Nie dla udręki,
Lecz byś to znów otrzymał z Mojej ręki.
To wszystko, co jak bezrozumne dziecię małe
Dziś opłakujesz, dla cię przechowałem.
Podnieś się, chwyć Mą dłoń i chodź".

Przystają przy mnie kroki.
Może ta noc, te mroki —
To ręki cień, co wznosi się kojąca?
Najmilszy, ślepy, mały,
Jam jest, to Mnie szukałeś!
Odtrąca Miłość, który mnie odtrąca".

Tłum. G. A. Achremowicz.

Akademicki Czyn Społeczny.

Lada dzień oczekujemy legalizacji „Akademickiego Czynu Społecznego" u władz uniwersyteckich. Przyniesie ona nam nareszcie możność utworzenia zdecydowanych form organizacyjnych i rozszerzenia akcji.

Jak wiadomo, w ubiegłym roku, w listopadzie, powstała myśl skoordynowania pracy charytatywno-społecznej, prowadzonej z mniejszym lub większym rozmachem w naszych organizacjach katolickich. Chodziło o to, żeby skoncentrować uwagę na tym punkcie i przyjść z pomocą tym wszystkim, którzy chcieliby zaakcentować silniej swój udział w życiu społecznem, a którzy nie chcieliby należeć do organizacji o takiem lub innem obliczu ideowem.

By dać ujście wszystkim zainteresowaniom i uzdolnieniom, utworzono cały szereg działów, w których praca posiada najrozmaitszy charakter. I tak: Sekcja Opieki nad dzieckiem stworzyła szereg świetlic. Są one benjaminkiem „Czynu", wymagają dużo zachodu i energji ze strony kierowniczek, ponadto czasem daje się odczuwać dotkliwy brak pomocników — potrzebni są np. kol. kol. dla uruchomienia świetlicy na Wilczej Łapie. Przecież wiele osób, zwłaszcza z pośród koleżanek, interesuje się wychowaniem — wdzięczne pole do popisu. To samo dotyczy pracy w S. M. P. Zupełnie inny charakter posiada działalność Sekcji Szpitalnej — odwiedzanie chorych, dostarczanie im zdrowej i zajmującej lektury.

Oczywiście organizacja wyrasta na podłożu współczesnych zagadnień społecznych, ma na celu walkę ze sprzecznościami życia obecnego. Wychodzimy jednak z założenia, że zmiana tylko materjalnych warunków, przebudowa ustroju i systemu gospodarczego nie przyniesie pożądanych wyników — wierzymy, że przebudowę trzeba rozpocząć również i z wewnątrz, stąd wychowawcze cele, jakie sobie stara się nakreślić Stowarzyszenie, a które realizuje w omówionych powyżej agendach. Jednak to dążenie do lepszego stanu rzeczy wcale nie usuwa tych bolączek doraźnych — zanim będzie naprawdę znośnie, wielu ludzi ma życie naprawdę nieznośne. Tym, pomnąc nietylko o chrześcijańskim nakazie miłości, ale zważając również na bliskość i wspólność losu z nimi, śpieszymy z doraźną pomocą, starając się dowieść cierpiącym, że nie są oni w absolutnem odosobnieniu, że są ludzie, którzy chcą pierwsi wyciągnąć do nich rękę, a nie zmuszać ich do wyciągania rąk o pomoc. Dlatego to właśnie zajmujemy sie również, w Sekcji Konferencyj św. Wincentego, opieką nad potrzebującymi.

Myśl zorganizowania Stowarzyszenia zaledwie zakiełkowała, wymaga jeszcze mnóstwa poprawek, a co najważniejsze, wielu praktycznych i własnych spostrzeżeń, opartych na doświadczeniu własnem. Dlatego nie pozostaje nam nic innego, jak wezwać wszystkich, którzy pragnęliby się oddać rzeczowej pracy społecznej, wszystkich, którzy odczuwają honorowy obowiązek towarzyszenia bliźnim w złym losie oraz obowiązek zaszczytnej walki ze złem — do wzięcia udziału w pracach Stowarzyszenia. Odpowiednie informacje i skierowania potrafi udzielić każdy członek każdego katolickiego stowarzyszenia na U. S. B. Wierzymy, że w pracy naszej nie opadną nam ręce, a tembardziej nie zabraknie nam ludzi chętnych. *Witold Rudziński.*



G. A. Achremowicz. *Linoleoryt.*

Tęcza na błękitach.

Przy czytaniu artykułu: „Jedność większa od dwóch" z poprzedniego numeru „Paxu" nasunęły mi się następujące uwagi, które, mam wrażenie, wnikają w istotę rzeczy powyższego artykułu.

Zastrzegam, że nie chodzi mi bynajmniej o obronę stanowiska kol. S., lecz jedynie o skonkretyzowanie i wyjaśnienie pewnych zagadnień, by właśnie *„złączyć i zharmonizować myśli i czyny w dążeniu do Prawdy i Dobra"*. Stojąc na tem samem stanowisku, jeżeli chodzi o istotę rzeczy, co i kol. Bartoszewicz, uważam również, że etyka katolicka powinna stać się podstawą wszelkich poczynań zarówno poszczególnych jednostek, jak narodów i państw, o ile ludzkość chce postąpić naprzód, o ile chce wybrnąć z obecnego chaosu, ale dodaję, że etykę tę można *„przepielęgnować"* jeszcze i w innym kierunku niż to kolega B. rozumie. Na to właśnie chcę zwrócić uwagę. Pisze kolega B.: *„Chrystus poniósł dobrowolnie śmierć z miłości dla ludzkości całej, aby ją zbawić. My chcemy zabijać (ograniczać, usuwać, niszczyć) — z miłości do siebie samych"*. Ale czyż miłość ludzkości ma przejawiać się w życiu narodu jako dobrowolne uleganie wszystkim ościennym egoizmom i zaborczym dążeniom? Czy naród ma także obumierać dla dobra innych? Stanowczo nie.

Idee mesjanizmu z hasłem *Polska Chrystusem narodów*, zupełnie zresztą słuszne i wytłumaczalne w dobie niewoli, gdy krzepiły i dodawały ducha, są anachronizmem obecnie; bierność, ustępliwość, cierpienie za innych, rezygnowanie ze swych słusznych praw, by przypadkiem nie urazić kogo — zniknąć muszą w odrodzonej Polsce, jeśli nie chcemy stać się łupem innych. Trzeba przyznać, że poza Dobrem Katolicyzmu istnieje mniejsze wprawdzie, ale również wielkie *Dobro narodu*, które bynajmniej nie koliduje z pierwszem. I nie trzeba o niem zapominać, lub pisać z przekąsem w cudzysłowie. Zupełnie słusznie nie mamy prawa *„iść ograniczać, usuwać, niszczyć inne narody, „w imię dobra" swego narodu"* — ale mamy święty obowiązek iść szerzyć swą kulturę, zdobywać (oczywiście siłą swego ducha) dla swej narodowości innych w imię właśnie Dobra narodu. Nie można identyfikować miłości swej Ojczyzny z nienawiścią do innych narodów, bo kochać swych najbliższych nie znaczy nienawidzieć tych dalszych, a walczyć o swoje prawa nie jest synonimem z prześladowaniem innych. Chodzić tylko musi o słuszność walki i o środki, jakiemi się ona posługiwać winna. Sama walka nie przeczy miłości chrześcijańskiej, świadczą o tem aż nadto wyraźnie słowa Chrystusa: *„Nie mniemajcie, żebym przyszedł puszczać pokój na ziemię: nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz"* (Mat. 10, 34.). I właśnie w tem niedocenianiu wartości Dobra narodu tkwi niebezpieczeństwo dla wielu katolików; przejęci niedościgłym ideałem kompletnej jedności wszystkich ludzi zapominają o obowiązkach, jakie mają względem Ojczyzny — idąc nawet na lep różnych międzynarodówek. Zaślepieni przez dziwny mesjanizm rezygnują z praw własnej Ojczyzny na korzyść innych rozzuchwalonych naszą biernością... nacjonalizmów! W tem właśnie kryje się ta druga możliwość „przepielęgnowania" etyki katolickiej. Królestwo Boże na ziemi to sprowadzenie ludzi do jedności— pisze kol. B. — tak, ale do jedności tylko religijnej, moralnej, etycznej! Królestwo Boże to jakgdyby tęcza — różne kolory na wielkiem tle błękitu Niebios. Każdy naród to odmienna wartość, która wnosić winna swe walory do ogólnej harmonji, świadczącej o wielkości i potędze Bożej.

Zrozumienie tej sprawy dzisiaj jest dla nas poprostu konieczne, o ile chcemy przeciwstawić się skutecznie szerzącej się bezreligijności i komunizmowi. Ruch katolicki i narodowy w Polsce powinny się jeszcze bardziej ze sobą zjednoczyć wobec groźby wspólnego niebezpieczeństwa, wiejącego od wschodu. Zarówno szowinizm narodowy, jak i kosmopolityzm, dążący do stworzenia pan-świata — muszą zbankrutować. Hasło: Niech żyje Chrystus, Król wszystkich narodów — jak najprędzej winno być podjęte i realizowane przez ogół ludzi dobrej woli.

Z. Świeżyński.

„O lepsze jutro".

Daje się zaobserwować dziwne zjawisko w życiu dzisiejszem, Europejczyk świadomie zaczyna wyrzekać się swej wielkości — z radością przyjmuje na siebie litylko i wyłącznie rolę najwyższego gatunku ssaka.

Czynią zaś to ci, którzy, rzecz dziwna, mienią siebie symbolem postępu, mówię o najmłodszej i najradykalniejszej generacji t. zw. „wojującego (z katolicyzmem) postępu". — Ludzie ci jednak postępują bardzo nieopatrznie, obalając, przynajmniej w swoich myślach, wierzenia i „zabobon", cofają się do stanu areligijności, który, co zostało niejednokrotnie i ostatecznie stwierdzone, jest nie do pomyślenia w żadnem, nawet najniżej stojącem kulturalnie, zbiorowisku ludzkiem — krótko, cofają się do stanu zwierzęcego. Przestaje dla nich istnieć człowiek przez duże „C", człowiek, który umysłem może ogarnąć niepoznawalne, który jest panem stworzenia. Dziwnie niewolnicza psychika młodych a nieprawych dzieci papy Marksa każe im wyrzec się tego wszystkiego, co jest poza zrozumieniem ich mózgów, co, stary, wyświechtany pozytywistyczny frazes, nie da się „zmierzyć i zważyć". — Wyrzekają się nie tylko rozumu— czynią to nieświadomie, wierząc, że techniczne umiejętności i dokładność automatu stanowią o mózgu i genjuszu — wyrzekają się duszy i w tem tkwi tragedja tych nieszczęśliwych młodych bojowników o lepsze jutro. — Stary materjalista Moleschott mógłby się cieszyć, słuchając uczonych dysertacyj, jakoto nie tylko myślenie jest funkcją fizjologiczną mózgu, ale wogóle całe życie ludzkie staje się jedną wielką „produkcją i konsumpcją" — wyniesioną do rozmiarów metafizycznych.

„Zorganizowany wytwórca" przyszłego, a raczej niedoszłego państwa pracy będzie przecie najnieszczęśliwszą istotą pod słońcem— przecie całe jego życie będzie polegało na „radosnem" produkowaniu i spożywaniu dóbr materjalnych ze ściśle odgraniczonemi okresami snu i „przyjemności" — może kto przypomni „Niech żyje wolność" René Clair'a. — Mózg i dusza, bo one jednak są, takiego „robota", wtłoczony od dziecka w zgóry określone ramki fachowych umiejętności, nie odczują i nie zobaczą nic, poza ciasnym kręgiem zawodu. — Słońce będzie regulatorem dnia pracy, noc wyłącznie litylko porą odpoczynku, a wygwieżdżone niebo — koniecznym jej dodatkiem, szum lasu i huk fal — dźwiękowym produktem ocierania się powietrza i wody o ciała stałe. — Dla nich Kolumb, Don Kichot pozostaną zawsze pożałowania godnymi warjatami, a da Vinci — „improduktywem".

Głoszone są teorje zniszczenia w człowieku wiary, genjuszu, odwagi, przedsiębiorczości, umiłowania wolności, przygody— wszystkie wymienione cechy będą tylko przeszkadzały „robotowi" zajętemu np. kopaniem rowów. — Te dobrych parę tysięcy lat kultury, które wydźwignęły te właśnie cechy na piedestał — okazały się błędem — ludzkość od początku brnęła w mrokach aż po wiek XIX i XX — Dotychczasowy świat był zbudowany na wyzysku, więc precz z nim, budujemy nową Ziemię, gdzie będzie istnieć jedno, ogólne państwo, a bogiem będzie Praca. — Dziwić się nie można, że podobne hasła są głoszone na serjo, jest to dalszy ciąg spłycania i upraszczania Historji, praktykowanego przez historyków o ideologji Lóż Masońskich. — Należy się jednak dziwić, że nie przeciwdziała się tym defetystom kultury. — Cofnięcie się dobrowolne do stanu bezmyślnych „robotów" jest równie symbolem rozpadu Kultury rasy białej jak wycofanie się legionów z Brytanji było jednym z widocznych znaków początku końca cesarstwa rzymskiego. — Autointoksykacja bolszewizmem i syndykalizmem idzie na rękę zdobywczemu pędowi Azji. — Zmechanizowane „roboty" nie będą bronić Europy przed nowym atakiem Azji — na to trzeba było Karola Martela czy Aecjusza czy wreszcie rycerzy z pod Lignicy. *St. Korczak.*

Klimontów.

„Bezwstydem zaś i nieludzkością jest uważać człowieka za narzędzie zysku i szacować go według tego, ile mogą jego mięśnie i jego siły".

Enc. „Rerum Novarum".

Są zdarzenia społeczne, które wykraczają daleko poza krąg wygrywania takich albo innych atutów politycznych, a wchodzą już w dziedzinę elementarnych wskazań etyki. Takiem zdarzeniem niewątpliwie była rozpaczliwa walka górników o „swoją" kopalnię — Klimontów, walka wytrwała, uporczywa, twarda i ostra jak kilof górniczy, a w kolorycie swoim ponura jak sztolnia.

Dzisiaj zwykło się zachowywać bardzo daleko idącą ostrożność w ocenie takich lub innych wypadków w świecie robotniczym, bo dynamitowa propaganda skwapliwie chwyta się każdej okazji, by zamanifestować swoją rację. Więc może tem się tłómaczy względny spokój, jaki prasę zalegał, gdy w Klimontowie kopalnia ziała ponurym grymasem czarnej walki o byt. Lecz to, co tam się stało, wychodzi daleko poza kompetencje podziemnych ambasadorów — staje się przedmiotem oceny etycznej i to przedewszystkiem ze stanowiska katolickiego. Niewątpliwie zatarg klimontowski wymaga zdecydowanej moralnej interwencji katolika. Bo to są rzeczy, które potępione być muszą. Mało potępione — musi się znaleźć siła, któraby pokazała, że w świecie chrześcijańskim podobne rzeczy nie mogą istnieć. Przypatrzmy się rozwojowi wypadków.

Koncern węglowy utracił część rynków zbytu. Koncern węglowy ma zbyt małe dochody. Koncern węglowy nie może tolerować rzeczy, które nie dociągają do przepisanego dochodu. Między innemi kopalnia Klimontów nie jest bardzo dochodowym interesem. Lecz to jeszcze nie wszystko. Obok niej jest kopalnia, która nie wchodzi w skład koncernu. Konkurencja! Nietyle groźna, ile całkiem zbyteczna. Polityka handlowa nie pozwala coś podobnego tolerować. Trzeba konkurenta zlikwidować. Mózgi panów dyrektorów nie potrzebowały długo się namyślać nad sposobem zaradzenia złemu. Poprostu trzeba zatopić kopalnię. Robotnicy? — No cóż, będą poprostu bezrobotnymi. Zresztą, czy warto czemś podobnem się przejmować, gdy chodzi o dobro koncernu?... Rozumowanie jasne i proste!

Zatopić kopalnię — jakie to genjalnie proste: i mało wartościowy interes się zlikwiduje i po sąsiedzku „konkurującą" kopalnię się zaleje, bo natura tak jakoś zrządziła, iż sąsiednia kopalnia musi być zalana, skoro Klimontów wypełni się po brzegi wodą.

I w tej chwili powstał głęboki protest ze strony pokrzywdzonych. Swiętości nie szargać! A prawo człowieka do życia jest świętością. Kopalnia zamieniła się w dobrowolne więzienie górników: nie chcą pozwolić zatopić swego ostatniego (bo innego przecież nie mają) warsztatu pracy. Bo i cóż ich czeka? Emerytur im nie wypłacą, zasiłków nie mają, a oszczędności... Właśnie— i tutaj rozpoczyna się najbardziej chyba ponury akt tragedji klimontowskiej.

Mieli „Kasę Bracką", składali po dobre kilka procent od swoich zarobków. Niektórzy pracowali od czterdziestu lat... Dzisiaj owa kasa świeci pustkami, bo Towarzystwo—właściciel kopalni — jakoś owe grube fundusze zużyło. Kiedy i poco zużyło — niech mówią sprawozdania. A zresztą kto w nich będzie się grzebał? Dzisiaj jest jedno tylko ważne: górnik został wyrzucony, a oszczędności, które składał, przeszły w krainę marzeń!

Czy potrzebne w tem wszystkiem pisanie długich traktatów o racjach gospodarczo-politycznych i społecznych? Czy dodadzą coś tłómaczenia zjawiska w myśl tej lub innej doktryny?

Jest jedno niewątpliwe w tem wszystkiem, że podstawowe wskazania etyki chrześcijańskiej zostały w brutalny sposób podeptane i rzucone pod nogi złotemu cielcowi. Ocena faktu może być tylko jedna: potępienie tych, którzy na podobne rzeczy się ważą w imię nieograniczonej żądzy bogactw i władzy.

A zresztą, może i ci panowie, którzy podpisali rozporządzenie o zatopieniu kopalni, nie są wyłącznie winni? Może i oni byli tylko bezwolnem narzędziem w ręku fatalnego splotu interesów i potwornych paradoksów współczesnego kapitalizmu? Któż to z całą pewnością rozsądzi?

Propaganda wywrotowa zrobi na wypadkach klimontowskich dobry interes — to jasne. Lepszej broni trudno dać do ręki tym, którzy na złotych dewizkach bankierów i fabrykantów skupiają swój nienawistny wzrok. Lecz grubym błędem byłoby sądzić, iż przemilczenie faktu stanie się skutecznem antidotum na czerwony zastrzyk społecznej kamfory. W dziedzinie etyki kompromisów być nie może i rzeczy, które zasługują na potępienie, w milczeniu ukrywane być nie powinny. To też zajścia na kopalni Klimontów każdego muszą napełnić głębokim protestem. Górnikom, zamkniętym w mrocznych sztolniach, przesyłamy wyrazy naszego głębokiego odczucia ich losu. Cześć ich bohaterstwu.

L. Korowajczyk.

Bujnicki, Miłosz, Zagórski.

(Teodor Bujnicki, *Poomacku*, wiersze. Wilno 1933. Czesław Miłosz, *Poemat o czasie zastygłym*. Wilno 1933. Jerzy Zagórski, *Ostrze mostu*. Wilno 1933).

Tytuł recenzji to trzy nazwiska w porządku alfabetycznym. Jeżeli piszemy o trzech naraz, możnaby rozumieć, iż przyczyną tego jest napis umieszczony na każdej książce: „Grupa literacka Żagary—Piony". To jednak mówi nam bardzo mało. Pewne próby rozwiązań społecznych, które wywołały w swoim czasie olbrzymią burzę prasową, są skonkretyzowane ściślej: o grupie społecznej mamy pewne pojęcie, aczkolwiek również niezbyt ścisłe i jasne. Co jednak należy rozumieć pod grupą literacką? Czy pewien wspólny front artystyczny? Przypominamy sobie artykuły teoretyczne Zagórskiego i Jędrychowskiego. Trzej autorowie chodzą jednak własnemi drogami.

„Grupa literacka" jest dlatego grupą, że drukowała swe utwory we wspólnym organie i że jednocześnie wydała swe zbiorki. Poza tem ze zbiorków niewiele wspólności potrafiliśmy wyczytać.

Umoczyłem pióro w atramencie i chciałem napisać nazwisko: Bujnicki. Lecz oto refleksja—kogo to nazwisko oznacza, Czy ukrywa się pod niem mały czarny człowieczek, którego znamy dobrze z różnych wystąpień na terenie akademickim i nieakademickim? Ktoś, kto go zna, mógłby go scharakteryzować na podstawie obserwacji, rozmów, domysłów. Byłaby to jednak inna charakterystyka, niż charakterystyka na podstawie jego wierszy. Możnaby usiłować odbronzować Bujnickiego, Miłosza, Zagórskiego. Lecz byłoby to wciskaniem się w życie prywatne ludzi, z którymi spotykamy się na płaszczyznach sztuki. Nigdy nie pójdziemy tą drogą.

A jednak utwory literackie (zwłaszcza liryka) mówią nam niejednokrotnie o sprawach niezmiernie dyskretnych. Czytamy u Bujnickiego:

Panno Niepokalana Ty wiesz jak pragnę boleśnie
uwierzyć w Twojego Syna i prawdy tak bardzo piękne
Ty wiesz dlaczego się zrywam i krwawię i wołam we śnie
do Boga Miłosiernego przed którym boję się klęknąć.

Być może, są to tylko „tematy". Nic nas jednak nie upoważnia do posądzania autora o estetyzowanie, gdy mówi nam o wielu rzeczach całkiem jasno i otwarcie. Zasadniczo jest mi wstrętne wdzieranie się w tajemnice tego czy innego człowieka, dla tłumaczenia jego tworów. Poza wiersz nie chcę głębiej zaglądać.

Ale nie można mówić o pojedyńczych tylko wierszach. Grupy utworów, objęte wspólną szatą zewnętrzną, wspólnym tytułem, książki sygnowane tem samem nazwiskiem, stanowią również całość. Zarysowuje się przed nami nietylko pewien nowy Styl, nietylko pewne Tematy, pewne Zagadnienia, lecz również zarysowuje się

przed nami sylwetka Człowieka, sylwetka Autora. Nie jest ona i być nie może ścisłem odzwierciadleniem całości duchowej, która wyłoniła z siebie utwory poetyckie i literackie. W utworach tych nie odbija się człowiek cały — i wcale nie o to chodzi. Ważne jest tylko, że owa ogólna sylwetka, wykreślona przez działalność literacką jednostki, posiada rzeczywisty byt artystyczny i jest własnością czytelnika i krytyki. O niej też będę mówił, wymawiając poniższe nazwiska:

Bujnicki, Zagórski, Miłosz.

Poomacku.

„Szukamy poomacku drogi do naszych serc". Oto synteza zbiorku Bujnickiego. Autor zdaje sobie sprawę ze swej twórczości, skoro tak tytułuje zbiorek. Właśnie zasadniczą treścią zbiorku jest szukanie poomacku drogi do naszych serc Jakże różnie treściowo przedstawia się trzynaście umieszczonych w zbiorku wierszy. Niemal w każdym znajdujemy tęsknotę do prawd tak bardzo pięknych, jakże często nieskonkretyzowanych ściśle, nie przedstawiających się wyraźnie. Czasem ogarnia autora zwątpienie (Wiersz o poecie), czasem zadrga w nim entuzjazm (Plakat). Zawsze słyszymy umiłowanie ziemi naszej i naszych ludzi. Nasz świat, świat Teodora Bujnickiego, jest światem naszych serc. Jest światem szarym, falującym sennie, światem zrudziałych ugorów i jasnych wstęg rzecznych, światem najbardziej ukochanym.

Naucz się kochać Niemen najpiękniejszą wstęgę,
którą Stwórca przepasał pierś Wielkiego Księstwa.

Surmy huczą w tym dwuwierszu. Lecz nad ziemiami Wielkiego Księstwa drga widmo wojny. Bujnicki cofa się przed nią, choć jej nie potępia. „Nie wiem czy ty rozumiesz, bo ja nie rozumiem zimnej mowy bagnetów tanków i szrapneli, inwalidów beznogich i trupów bez trumien, tych chorągwi i znaków które ludzkość dzielą". „Nie rozumiem". Ten niesłychany umiar jest olbrzymią zdobyczą Bujnickiego.

Tu dotykamy zagadnienia formy. Oszczędność w środkach, umiar i prostota, to cechy zasadnicze zbiorku. Jakże daleko odszedł Bujnicki od cyrkowego rekwizytu — granatowego auta ze „Śmierci w mieście". Teraz nietylko nie pozwoli sobie na żadne ekstrawagancje, lecz nawet na żadne słowa niepotrzebne.

Z braku miejsca zwróćmy uwagę choć na kilka wierszy.

„Północ" oparta jest na jaskrawem przeciwstawianiu obrazu wsi naszej w chwili klęski i głodu, na przeciwstawianiu głuchej rozpaczy i gniewu — codziennej, monotonnej pracy.

Pod jasnemi czuprynami szare oczy. W oczach niezaradny
i niezdarny gniew
ręce podnosi ku niebu grożąc.
Ręce opadają ciężko
rzędem zabłoconych motyk.

„Modlitwa do Matki Boskiej" jest modlitwą i spowiedzią. Ornament zaczerpnięty z litanji tworzy prostota ludzi w samodziałach, korzących się przed ołtarzem Ostrej Bramy. Obraz jest zdobny wygniatanem srebrem, srebrnym półksiężycem, płomykami żółtych świec woskowych ...

„Plakat", to werbel pracy i twórczości. „Dziś ostatnia godzina werbunku. Do szeregu! Idziecie z nami!" Bujnicki jedyny ze wszystkich trzech omawianych poetów zdobył się na ton pozytywny w kwestjach gospodarczo-społecznych. „Przekuwamy oblicze legendy na prawdziwe oblicze ojczyzny".

„Pieśń o ziemi naszej" jest jednym z najpiękniejszych wierszy, jakie znam. Więcej nic nie chcę o nim mówić. W sprawach ideowych niekażdy musi się z nim zgadzać. Zresztą Bujnicki nie myśli nikomu narzucać swego zdania. „Nie wiem, czy ty rozumiesz..."

Ostrze mostu.

„Zbyt dużo trzeba ujarzmić wyrazów pragnących życia". Jerzy Zagórski ujarzmia wyrazy. Każde zagadnienie przedstawia się dlań, jako możliwość wierszowa, jako „temat". Jakże charakterystyczny jest ustęp: „jak wielkim eposem bywa sosnowy czworokąt stołu". Zasadniczo nie stanowi dla Zagórskiego różnicy zagadnienie przewrotu społecznego a zagadnienie „drobnych przedmiotów". Nie wierzę, by jakikolwiek wiersz społeczny nie był dla Zagórskiego tylko ujarzmianiem tematu. (Wyjątkiem jest „Marsz"; ale jest to wiersz słaby i nie rozumiem motywów sądu konkursowego, który za te lechoniowate zwrotki dał kiedyś Zagórskiemu 2000 zł; autor zapobiegliwie przypomniał nam w swym zbiorku o tem wydarzeniu).

„Ujarzmianie wyrazów" nie jest zarzutem, jest charakterystyką. Stąd podejście do Zagórskiego może być tylko formalne. Jest on zapewne pacyfistą, pisze o CKM-ach, armatach, kanonadach. Wiemy: grupa społeczna Żagary-Piony! — Jest on zapewne radykałem społecznym, pisze odę na spadek funta, inne jego wzmianki również o tem świadczą—wiemy, wiemy: Żagary-Piony. Ale w istocie jest dlań obojętne, czy ma mówić o CKM-ach, czy o pejzażu romantycznym. On ujarzmia wyrazy.

I z ujarzmiania wyłaniają się rzeczy piękne. Tylko je czytać uważnie i z mozołem. Nieraz myśl autora pójdzie tak daleko, że czytelnik nie łapie już jego skojarzeń. Czasem autora ponosi pióro, naprzykład bezsensowne wspomnienie, jak w mieście niemieckiem zrabował od kupców chciwych i obcych trzysta serdelków. Bardzo to ciekawe, ale czy potrzebne do całości.

Sumując: Zagórski jest poetą formy. Nie pojmujemy formy tylko jako rymowania i budowania zwrotek. Forma jest dla nas pojęciem wartościowem samoistnie — zbliżamy się nieco do stanowiska St. I. Witkiewicza, choć nie uważamy „czystej formy" za szczyt i cel sztuki. Rozumiemy jednak rodzaj poezji Zagórskiego.

Trzeba jeszcze postawić stopień. Za rodzaj, jaki uprawia, należy mu się czwórka plus.

Poemat o czasie zastygłym.

„Kocham materję, która jest tylko lustrem wirującem". Wiersze Miłosza, to lustro wirujące. Na pierwszy rzut oka Miłosz i Zagórski to bliźnięta. Możnaby wyłowić szereg podobieństw i wzajemnych wpływów — przedewszystkiem technicznych. Są to rzeczy drobniejsze. Miłosz i Zagórski usadowili się na dwóch biegunach poetyckich i kiedy u jednego jest dzień, u drugiego noc.

Chodzi mi o stosunek do tematu. U Zagórskiego temat jest kanwą do haftów formalnych, u Miłosza — forma przedewszystkiem uchwytuje zagadnienie. Jędrychowski pisał kiedyś o „Odzie na spadek funta", jako o reportażu poetyckim. Bujda! Dowód zupełnego niezrozumienia twórczości Zagórskiego i sztucznego ratowania jednolitej płaszczyzny Żagary-Piony (w polemice z Wyszomirskim — „Dziewięć błędów uwodziciela"). Natomiast Miłosz tworzy wizje rzeczywistości o bardzo wielkiem napięciu i plastyce. Poezja Miłosza jest lustrem.

Ale jest lustrem wirującem. Żadne lustro nie odtwarza ściśle świata zewnętrznego. Tembardziej lustro wirujące. Miłosz — to synteza tęsknot rewolucyjnych współczesnego młodego pokolenia. Dokoła strzępy, łachmany życia. Zedrzeć je, zniszczyć, zniweczyć! Nie chcemy krzywdy, głodu i wyzysku! Wszystko jest objęte kołem bezprawia i męki ludzkiej.

Niebo ciche, jak przed lat tysiącem
na twarz sypie reflektory światła.
Pod tem niebem w XX wieku
Życie trudne i prawda niełatwa.

Mamy sympatję do wyznań Miłosza. Lecz nic w nich niema pozytywnego. Nie chcemy przyjąć szczerego wyznania

Niebieskie są oczy nasze w twarzach znaczonych Wschodem.

Czy będziemy dyskutowali z Miłoszem? Czy warto? Mówi nam: „Kocham ruch mojej krwi, jedyną świata przyczynę. Wierzę w zniszczalność wszystkiego, co istnieje".

Chciałbym kiedyś napisać szczegółową analizę formalną poezyj Miłosza. Forma ta, która jest w ręku Miłosza przedewszystkiem narzędziem, jest wprost świetna.

Wszystkie trzy recenzje wypadły wysoce pochwalnie, gdyż wszystkie trzy zbiorki są wysoce wartościowe. Największą ich jest zaletą, że są odpowiednikami trzech samodzielnych talentów, że grupa literacka Żagary-Piony nie istnieje.

A teraz nauka moralna:

Na wiele stanowisk ideowych u tych autorów nie możemy się zgodzić. Umieszczamy jednak w piśmie katolickiem obszerną stosunkowo o nich recenzję. I zachęcamy naszych czytelników: czytajcie. Czytajcie i uczcie się. I — na Boga — nie piszcie mdłych wierszydeł, o wielkim patosie, wyświechtanych słowach i moralnej tendencji. Tęgiej literatury współczesnej nie widzimy w Polsce prawie zupełnie, gdyż albo treść jej jest sprzeczna ze wszystkiem, co dobre, albo forma budzi w nas uczucia, jakie mamy po zjedzeniu pół kila mydła po dobrym obiedzie.

Poza tem wszystkiem jeszcze jedno: sporo jest w omówionych wyżej wierszach zwyczajnego dziwactwa i nabierania nieszczęśliwych, wysilających mózgi, czytelników oraz samych autorów. Siedzi sobie autor i duma nad wierszem. Przed oczyma galopują mu oszalałe skojarzenia. Zaczyna się niby do sensu, a potem pojęcie trąca pojęcie, wizja wizję, piętrzy się jedno na drugie, zeskakuje w oszalałych podskokach, hop! hop! — mocniej, śmielej! Wytwarzają się napięcia pojęciowe czasem nawet bardzo ładne. Autor odczuwa przyjemność z lekkiego ześlizgiwania się z pagórka na pagórek, z obrazu na obraz, z trudności na trudność. Wyrasta wiersz niekiedy dobry w szczegółach, ale nie przedstawiający mocniejszej konstrukcji nietylko logicznej, lecz i artystycznej. (Widzimy to przedewszystkiem u Zagórskiego). Przy pewnej wprawie można dojść do kolosalnej łatwości w takiem pojęciowem zataczaniu się.

Czas o tem powiedzieć wyraźnie. Niejedna blaga przeszmugluje się przez snobizm czytelnika i przez tchórzostwo krytyki. Naszych odbiorców literackich można podzielić na dwie grupy. Pierwsza: ludzie, uważający wszystko napisane inaczej, niż pisali „wieszcze" za „futurystyczną bzdurę". Druga: ludzie, przyjmujący każdą bzdurę z otwartemi w zachwycie ustami. Pierwsi są szkodliwi przez konserwatywną ciasnotę; drudzy jeszcze szkodliwsi, gdyż popierają tandetę i fałsz artystyczny. Przypominają niemuzykalnych snobów, którzy i kompozycję Beethowenowską i bezmyślne klapanie po klawiszach przyjmą z jednakiem uznaniem: lękają się bowiem przyznać do zupełnej ignorancji w sprawach muzycznych.

Pachnące ropuchy mdlały w tęczowych pawich oczach
(przez mózg po czole posoka krzepnąca już się toczy).

Czy to nie ładne? Zgaduj zgadula, bzdura, czy nie bzdura!

Antoni Gołubiew.

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna. ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie.